



**A** w niedzielę ...

patrz reportaż str. 2 i 3

# odgłosy

TYGODNIK  
ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ,  
dn. 24 sierpnia 1958 r.

nr

**26**

## DZIEWICE I TERROR



**N**iewątpliwą sensacją bieżącego sezonu ogórkowego był niedawny zjazd dziewcząt w Częstochowie.

Poza samym pomysłem imponuje tu cyfra: na Jasnej Górze zebrało się dziewcząt sto tysięcy!

Tematyka zjazdu była niebotycznie szeroka. Od spraw wiary, moralności, poprzez politykę, zachęcała i kwestie mody, fryzjerstwa, pielęgnacji skóry.

Prymas Wyszyński rzekł:

„Niezmierznie ważną rzeczą w dziewczęcym życiu jest to, jak wyglądacie. Bardzo się cieszę, że widzę was stojące w ludowych strojach, bo w tym wyraża się dusza polska. Pomyślcie, co chce zrobić z dziewczętą dzisiejsza moda, jak zamiast przepięknych warkoczy na głowy nakłada zmierzwiłone kopy siana”.

Zdanie powyższe dowodzi wielkiej potęgi polskiego kościoła.

Temat ten rozwijał biskup Goliński:

„...nie noście spodni, nie noście szat męskich, nie pomagajcie nam i zostawcie to nam. Kosmetyki odrzućcie, spowodujcie, aby zamknięto sklepy z kosmetykami...”

Jak więc widzimy, krucjacie przeciwko przerywaniu ciąży, przeciwko stosowaniu środków jej zapobiegających, krucjacie o nawrócenie wszystkich Polaków towarzyszyć będzie od dziś krucjata przeciwko kosmetykom.

Wywindowane na moralny piedestał dziewczęta w ludowych szatach wracają do swoich domów i... I piszą listy do prasy. W tym miejscu kończy się komiczny aspekt zagadnienia. Zaczyna się zaś tragiczny.

W „Kulisach” czytamy: „Nieraz miałam okazję nawiązania przygodnej znajomości, ale w delikatny sposób nie dopuszczałam do tego”. Itd.

Konkluzja: „A swoją drogą, jakie to okropne dla kobiety wyrzekać się kina, teatru, spaceru za miasto tylko dlatego, bo na kobietę samotną każdy patrzy z politowaniem, a nawet z pogardą.

Nie chodzę nigdzie, ani zimą, ani latem. Nawet urlop spędzam w domu, bo gdy idę sama, czuję się źle pod spojrzeciami ludzi,

I nie widzę wyjścia z takiej sytuacji, a czas upływa i rośnie żal, że straciło się życie bezpowrotnie”.

Bowiem nasze dziewczęta są polskie, niestety, nie tylko strojem, warkoczami i duszą. Polskie są warunkami, w których żyją i pojęciami, jakie życiu ich towarzyszą.

Żyją zaś one we wsiach, miasteczkach i miastach (cytowany list przyszedł z Lublina), gdzie

JAN ADAMOWSKI

## UWAGA, człowiek w trybach!

„Człowiek — to brzmi dumnie”...

M. GORKIJ

**B**a, gdyby wzniosłe te słowa nie stały się w życiu banałem — temat ten nie znalazłby się na łamach „Odgłosów”. Szlachetne hasło, mówiące o trosce o człowieka pracy, ozdabia ściany niejednej świetlicy fabrycznej i dekoruje ściany sal konferencyjnych. Wykwita na ustach

niejednego działacza gospodarczego i państwowego, a w codziennym życiu podszyte jest ironią i szyderstwem. I wcale nie dlatego, że państwo skąpi groza na owe wzniosłe cele. Miałem okazję poznać te sprawy bliżej, rzecz można, niejako od „podszewki”.

Niedawno, będąc w CRZZ pragnąłem przekonać się, jak wygląda ta troska — od strony brzęczącej monety. Daje na to Rząd pieniądze, czy karmi naród jedynie pięknymi słówkami? Pokazano mi liczby zaskakujące. Oto w latach 1955 — 1957 nakłady finansowe na bezpieczeństwo i ochronę pracy wzrosły o 760 mln. zł i w ubiegłym roku sięgały ogólnej kwoty 4.048.622.000 zł. W bieżącym — fundusze są jeszcze wyższe.

W tym miejscu pozwalam sobie

na dygresję. Ostatnio, jak wiadomo, Rząd zdecydował się na podwyżkę płac nauczycieli. Ile na ten temat było postulatów, dyskusji, memoriałów i debat w Sejmie! Sprawa trwała kilka lat zanim wytrząsnęto z kiesy państwowej miliard złotych na poprawienie warunków materialnych pracowników oświaty.

Przystawie mówię: — „Gdzie cienko — tam się rwie”. A w naszej gospodarce mamy dziesiątki, jeśli nie setki takich cienkich miejsc, wymagających bardzo pilnego „zastrzyku” finansowego. Ot, chociażby uposażenie pracowników przemysłu lekkiego, zwłaszcza włókienniczy. Mówił o tym także I sekretarz KC PZPR — Władysław Gomułka na uroczystościach lipcowych w Łodzi, wskazując na szereg nabrzmiałych i — jak dodać — niemożliwych jeszcze do rozwiązania problemów w gospodarce narodowej.

Przypominam o tym, bo w sprawach BHP stanowisko Partii i Rządu jest wyraźnie określone. Na cele te muszą się znaleźć pieniądze i państwo nie szczędzi ich, by stworzyć ludziom godziwe warunki pracy.

DALSZY CIĄG  
str. **2**



DALSZY CIĄG  
str. **9**





Zdjęcia umieszczone na tej stronie (a także fotografia na str. 1) pochodzą z filmu „Obrazki z podróży”, nakręconego przez Andrzeja Kondratiuka, studenta Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Ten ciekawy, abstrakcyjny filmik wykonany został pod opieką pedagogiczną prof. Stanisława Wöhla. Główną rolę kobiecą kreuje Basia Kwiatkowska.

Ponieważ rekwizyty, użyte w tym filmie, mają wiele wspólnego z tematem reportażu Leszka Witczaka, zdjęcia Basi, pożyczone z „Mieszanki Filmowej” znajdują się tutaj, a nie na 12 stronie.



## ZDROWIE

ney” (kraja za morzem), a grill od rana do wieczora, to człowiek mógł się ze wzruszenia popłakać, jeśli przedtem nie dostał po głowie w jakimś zamieszaniu. Na takie okazje kładło się jak najwięzsze spodnie, do brudnych koszul zawiązywało pożyczone krawaty i szło do parku upatrywać ładne dziewczęta. Ale z reguły kończyło się tym, że jedna miała za krótkie nogi, druga była ubrana bez smaku, trzecia wymarzona, ale pod opieką mamusi...

Odkładaliśmy więc na bok sprawy sercowe i szliśmy pod Ogród Zoologiczny popatrzeć „jak się biją”. Miejsce to było jakby teatrem wojny między różnymi dzielnicami miasta. Nie pamiętam już, kto się wtedy z kim bił i o co. Niebezpiecznie było przekraczać krąg latarni. Buszowali tam młodzieńcy z zakasnymi rękawami koszul wyławiając nieostrożnych z tłumu i strasząc dziewczęta. Niektóry taki chodził sobie z rulonem papieru pod pachą, myślałbyś jakiś referent albo malarz. W papierze zaś mieściła się elegancko zawinięta laska, w razie potrzeby można ją było szybko wyjąć, kogoś po głowie i laseczkę w papier. Zdrowie słynęło wtedy jako grama zawadiacka kraja.

### Smutne refleksje po wesolej niedzieli

Jest już późny wieczór. Ale i opustoszały. Jutro będzie tu wyglądać jak na pustej plaży po odpływie morza. Zostaną tylko papiery, puszki po konserwach i stopy śmieci.

Park na Zdrowiu, największy park w Polsce, i jeden z największych w Europie. Jakimi atrakcjami raczy on tysięczne rzesze gości? Ogrodem Zoologicznym, nad wyraz nędzną plażą nad eucichnym stawem z kajakami, niedzielną wypożyczalnią książek. Trochę za mało.

Z czynników oficjalnych tylko milicja troszczy się rzeczywiście o ten park. „Czystka” przeprowadzona tutaj przez funkcjonariuszy MO dała dobre rezultaty. Nie doszły mnie jednak żadne wieści, by milicja podjęła się zorganizowania akcji rozrywkowej w parku na Zdrowiu.

A może celowo zostawia się tu życie niedzielne samo sobie, dla utrzymania lokalnego kolorytu? Mnie nawet ten pomysł się podoba, jak wszystkie zresztą oryginalne pomysły. A wam?

LESZEK WITCZAK

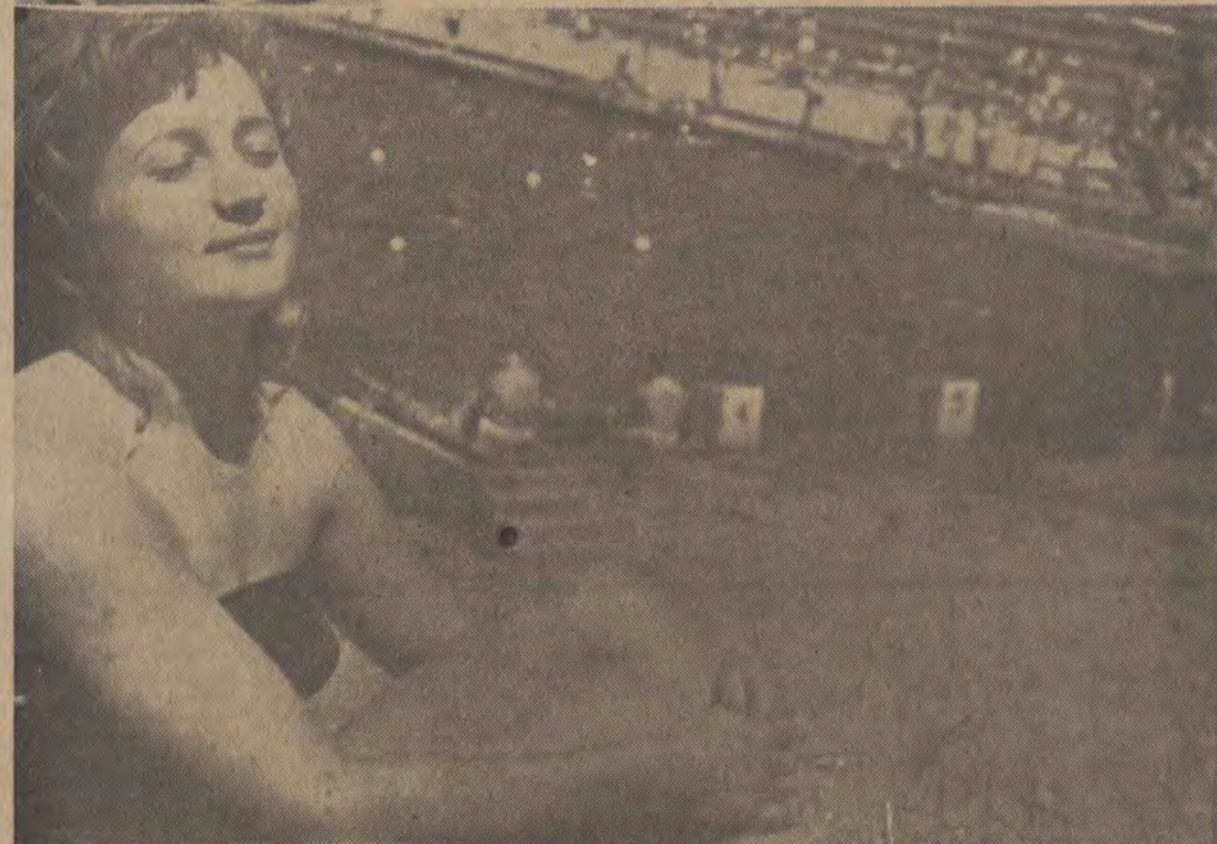
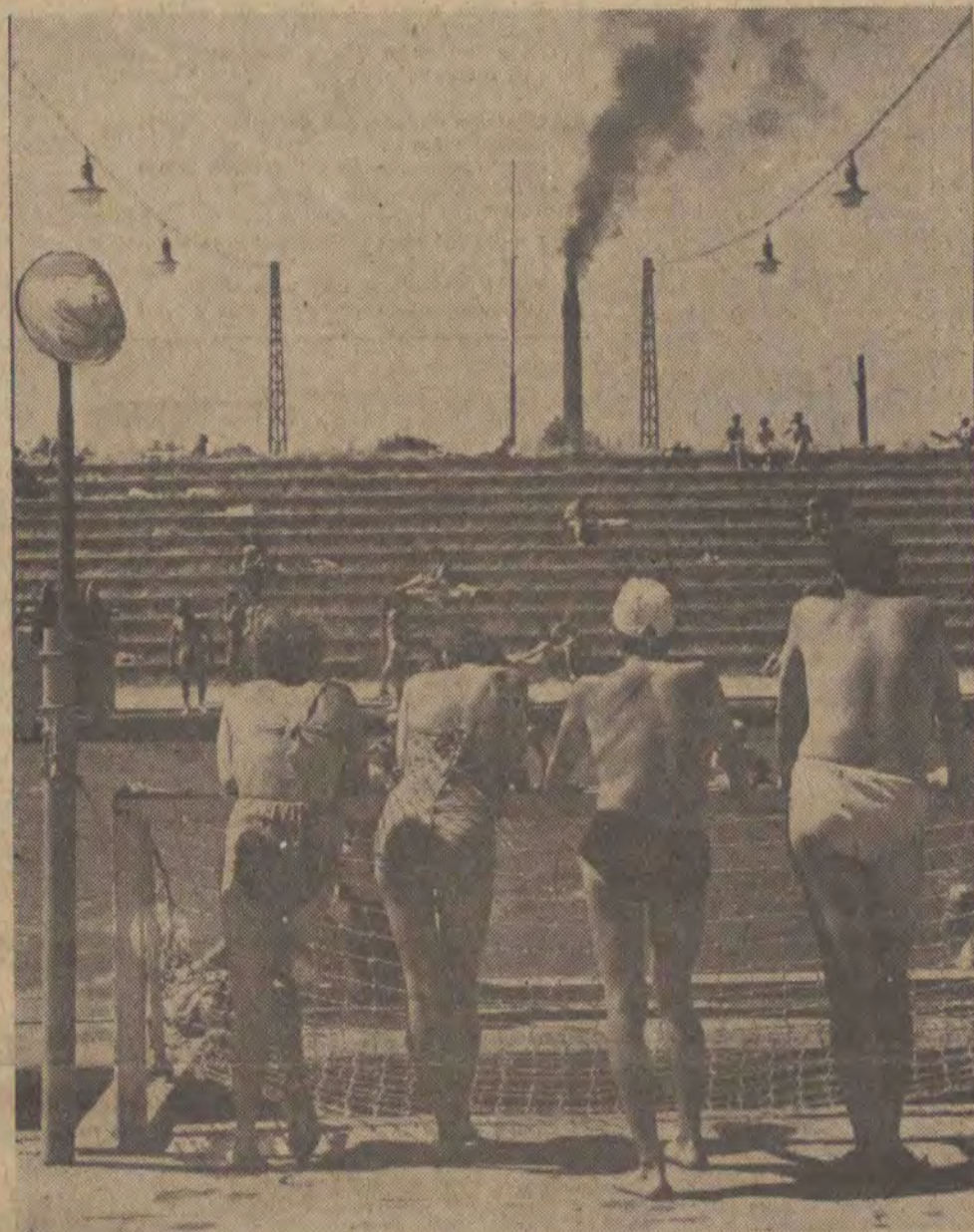




# STACHNIENIE DO... WODY



# DO... WODY



DBAJ O CZYSTOŚĆ I PORZĄDEK

odgłosy

str. 5



# STARA-MŁODA EMIGRACJA

W tydzień po przyjeździe telefon.

— Słuchaj, grupa młodzieży chciałaby się z nami zobaczyć, pogawędzić o kraju... Jedziemy. Duży pokój, stare meble, w kącie adapter z głośnikiem przypominającym sedes, a na półce ster-ta kolorowych tygodników. Jest wśród nich „Cinemonde”, „Paris Match” i kilka starych numerów „Kultury”. Siadamy, towarzystwo dopiero się schodzi. Padają pierwsze słowa na temat obojętne. Atmosfera wyraźnie jeszcze się nie rozkręciła.

— My nawet nie wiemy, co wy reprezentujecie, jaką organizację, związek czy stowarzyszenie — mówię.

— Nic w tym rodzaju — odpowiada ktoś. — Jesteśmy po prostu prywatnym klubem, zbieramy się, żeby razem posiedzieć, posłuchać polskich płyt, pogadać i wreszcie spotkać się z kimś, kto jak wy, przyjeżdża tutaj z kraju i może nam coś ciekawego powiedzieć. Nie mamy list obecności ani specjalnych zebrań; przychodzi kto ma czas i kiedy ma czas, a jednak zawsze spotkacie tu kilka osób. Tymczasem obok zawijazuje się już dyskusja. Jeszcze dętwą, przgniecioną sztywną jakby atmosferą, ale już dosyć znajomienna.

Przybysza uderza problem nieomal paradoksalny. Problem starości młodej emigracji, jej staroświeckich tęsknot i wczorajszych wyobrażeń. Przybysz po pewnym czasie stwierdza w duchu z goryczą, że wspólny język jest tutaj trudny do znalezienia.

Gawędzimy w dziesięcio-ro. W tym trójka „z kraju”, reszta „tutejsza”. Dalej padają konwencjonalne zwroty, aż rzucając prowokacyjne stwierdzenie:

— Różnimy się dosyć zasadniczo — mówię. — Wy byście chcieli wrócić do kraju, przecież przynajmniej tego nie tacie, a wręcz przeciwnie, wyniki to niechęć z waszych wypowiedzi. A więc pragniecie, może nawet za wszelką cenę, ale zarazem — nie oblekacie tego w czyn. Nam natomiast marzy się, żeby przynajmniej rok tutaj posiedzieć, zobaczyć więcej, niż pozwala na to migawkowość pierwszych spostrzeżeń.

— Trafili pan w sedno — słyszę. — Tym się na pewno różni między sobą. Ale powiedział pan: „rok”. Dodamy do tego jeszcze jeden, dwa lata, czy nawet cztery. Czyli jakiś umowny okres czasu, który wystarczy na poznanie kraju, miasta i ludzi. Dosyć takich wystarczających okresów mamy właśnie za sobą. Wie pan, Mickiewicz, gdy tu siedział za długo, powiedział po jakimś czasie, że Paryżem jak piekłem się brzydził...

Moja rozmówczyni ma rację. Nasz wóz zatrąbił za gnił parę, gdzieś, może na Rue de Lille, zajmiemy swoje miejsca i pojedziemy dalej. Im brak właśnie tego sygnału. Oni nie mogą pojechać do Polski, żeby się rozjeździć, bo... odetną sobie drogę powrotu. Stracą prawo pobytu tutaj. Czy tylko to ich zatrzymuje, czy tylko to udaremnia im powrót? A może coś jeszcze? Jakieżś mniej lub bardziej uzasadnione obawy, strach?

Mówią o tym niechętnie. „Zakosztowałem świata, lubię podróżować, czy oni potem puszcza mnie za granicę?”. A zresztą, zaraz okazuje się, że ci ludzie swoją wiedzę o Polsce czerpią z dosyć dawnych doświadczeń. One dyktują im niejedne słowa, one rozstrzykają tę

granice, która jest między nami a nimi. No cóż, nie lubimy nadużywanych argumentów, werbalnych stwierdzeń, wyświechtanych, zużytych frazesów. Istoty zmian nie można przecież opisać, inle można jej opowiedzieć bezytycznymi słowami. Bo dokonany się one na dwóch płaszczyznach. Pierwsza jest oczywista, dotykana, łatwo uchwytana, decydująca o wszystkim co nas otacza. Choćby o tym, że doszło dziś do naszego spotkania. Ale ta płaszczyzna to nie terra incognita, o której można mówić świeżymi słowami. Ziemia nieznaną, to dopiero płaszczyzna druga, ale ta znów opiera się naszemu rozeznaniu, granicy bowiem ze sferą podświadomości. Tak, te zmiany dokonały się w nas samych.

Dalej mamy trudności ze znalezieniem wspólnego języka, temat rozmowy nie zstąpił jeszcze na ziemię, na zwykłe, codzienne troski. Aż wreszcie, pojawiają się one na horyzoncie. Wychodzi na jaw, że nasi rozmówcy czują się w Paryżu kłesko — bynajmniej nie ze względów natury materialnej. Owo złe czucie, to przede wszystkim problem osamotnienia, które im dokucza najbardziej. Co za paradoks! Osamotnienie wśród ludzi, w wielomilionowej stolicy świata, mamiącej tęczyami najbardziej wymyślnych i wyszukanych uroków. A jednak tak jest...

— Francuzi — słyszę — to ludzie bardzo dziwni, trudni do towarzyskiego współzicia; może pan na przykład żyć z jakąś rodziną bardzo blisko, nawet w serdecznej przyjaźni, utrwalonej wspólną pracą, tymi samymi zainteresowaniami. Ale nigdy takiej zaprzyjaźnionej z panem rodzinie nie wpadnie do głowy — ot tak, bez wyraźnej potrzeby — pomyśleć o zaproszeniu pana do siebie, na wspólne wypicie choćby filiżanki kawy. Nasze kontakty ograniczają się więc do kawiarni. Potem pewne zasady moralne, także nam obce, chociaż nie jesteśmy przecież purytanami, albo ludźmi zbyt zacofanymi w poglądach. Ale małżeństwa, które mamy tu na widoku, żyją w stadium absolutnego rozkładu, w atmosferze obopólnej zdrady, z tym — że aktywność w tym względzie przejawiana jest najczęściej ze strony kobiet...

No cóż, jeśli chodzi o problem aktywności, to rzecz istotnie wygląda dosyć egzotycznie. Ale przecież, samo zagadnienie, acz nie ujęte krajowymi statystykami — także nie jest nam obce. Jest to bodajże problem niespokojnej epoki. Niespokojnej? Bernard Russel coś na ten temat obliczał i wypadło mu, że epoka nasza jest wyjątkowo spokojna, przynajmniej pierwsze pięćdziesiąt lat dwudziestego wieku.

A więc to nie epoka zawiąta, chociaż szczerze obdziela sensacjami, dozuje zwątpienia. Nasza stara — młoda emigracja nie ma czasu roztrząsać tych kwestii — żyje ona w zamkniętym kręgu swoich wyobrażeń, które zdają się być zaczerpnięte z pozostających kart powieści dla pensjonarek.

Mówi młoda dziewczyna: — Jeśli chłopiec, Francuz, zaprosi kobietę do kina, to sam fakt przyjęcia zaproszenia zdaje się go upoważniać do rychłego przedsięwzięcia bardziej zasadniczych kroków. Stąd częste niesnaski, nieporozumienia.

Cóż na to powiedzieć? Że i u nas także zdarza się, że chłopiec z miejsca przechodzi do owoych zasadniczych kroków? Z miejsca? No tak, bo rzecz najczęściej o-

bywa się bez kina. Lepiej pokiwać smętnie głową, uśmiechnąć się z politowaniem i szybko zboczyć z jeszcze jednego kłopotliwego tematu.

— Albo te ciągle noce u-farczki Francuzów z Algierczykami i vice versa. Czasem przejść nie można spokojnie, jak się zaczyna awantura. Mowy nie ma o późnym powrocie do domu.

— Gdzie pan się rodził, pytam. (Czyżby na księżycu — dodaje sobie w duchu...)

— Tutaj — mówi młody chłopak. — W Paryżu. No tak, skąd on może wiedzieć, że na łódzkiej, wrocławskiej, krakowskiej czy warszawskiej ulicy oberwać może od swoich własnych, podchmielonych rodaków?

— Francuzi nie piją — oczywiście, jeśli nie liczyć wina, spożywanego przy każdej okazji, w imponujących ilościach, tańszego od wody sodowej. Francuzi nie używają wódki, która jest droga, ani likierów, które są jeszcze droższe — bo są skąpi. Zbierają frank do franka, żeby kupić sobie domek campingowy na dwóch kółkach, lepsze mieszkanie, samochód... To maniakalne oszczędzanie, ta wieczna, uporczywa troska o starość. To też rodzaj narkotyku, innego niż alkohol, ale podobny mu, ot — gatunek upojenia, powodujący analogiczne ośpienie. Ta atmosfera jest nieznośna, może się sprzykrzyć. Bywa, że człowiek chciałby być jak najdalej od tej upornej gonitwy za pieniądzem, od którego tu wszystko zależy.

Czas mi się na ustach odpowiedzieć, że u nas niekiedy pieniąż także znaczy zbyt wiele. Lepsze mieszkanie, samochód. Ale milczę. Wre-

(Dokończenie na str. 8)

Zdjęcie  
autora

Z cyklu: Ulica paryska



REMIGIUSZ BIERZANEK

Korespondencja własna  
„ODGŁOSÓW” ze Szwajcarii

## W GENEWIE I BAZYLEI

Marża — nadwyżki i sposób ich dzielenia — Inicjatywa p. Dutweilera — Ekspansja „Migros” — Dzień dzisiejszy „Freidorf”

Wym samym mniej więcej czasie, kiedy łódzka PSS święciła 50-lecie swej działalności, w witrażach Genewskiego Stowarzyszenia Spożywców widniały napisy „90 lat w służbie konsumenta”. Historia spółdzielczości szwajcarskiej jest istotnie trochę dłuższa niż polskiej. Wczesniejszą dotarły tutaj idee i wzory z kraju narodzin ruchu spółdzielczego Anglii. W tym niewielkim, ponad miarę górzystym kraju rozwinięła się przede wszystkim spółdzielczość spożywców oraz spółdzielczość rolniczo-handlowa, przetwórcza i oszczędnościowo-pożyczkowa. Inne działy — spółdzielczość mieszkaniowa, pracy — nie odgrywają prawie żadnej roli.

Pobyt w Genewie jest dla mnie okazją do nawiązania bliższych kontaktów ze spółdzielcami szwajcarskimi, do wielu dłużej, przeciągających się do późna w nowy dyskusji o aktualnych problemach spółdzielczości, rozwijającej się w innych warunkach na Zachodzie Europy, w innych w krajach so-

cializmu, a jeszcze w innych — w krajach kolonialnych Afryki i Azji, a także okazją do dokładnego zwiędzenia spółdzielni genewskiej oraz do wizyty u spółdzielców w Bazylei.

Aby ułatwić Czytelnikowi polskiemu zrozumienie funkcji ekonomicznej spełnianej przez spółdzielnie szwajcarskie, przydatną będzie rzecz podanie paru liczb porównawczych. Podczas gdy marża kalkulacyjna (różnica pomiędzy ceną zakupu i ceną sprzedażną) wynosiła w naszych spółdzielniach handlowych przeciętnie 7 — 8 proc. — w szwajcarskich sięga 22—23 proc. Rezultatem tak wielkiej marży w handlu szwajcarskim, zarówno prywatnym jak i spółdzielczym, jest gromadzenie się poważnych zysków: przy wysokich na ogół placach i innych kosztach handlowych sięgających 14 proc. (u nas około 5—6 proc.) czysta nadwyżka sięga w spółdzielniach do 8—9 proc. Całą niemal nadwyżkę rozdzielają one wśród członków, stąd też w najlepiej pracujących placówkach

zwroty od zakupów wynoszą 7—8 proc. czyli członek, który zakupił za 1000 fr. towarów, otrzymuje 70—80 fr. tytułem zwrotów. Za przykładem spółdzielni idą niektóre prywatne sklepy spożywcze, wydając przy zakupach bony, które uprawniają do zwrotu 5 proc. wartości zakupionych towarów: w ten sposób sklepy te starają się zdobyć stałych klientów.

Podziału nadwyżki dokonuje się w spółdzielniach co pół roku z tym, że zasady podziału są różne. Jeden z młodych ekonomistów szwajcarskich wyjaśnił mi (nie bez pewnej złośliwości, — wiadomo, młode pokolenie we wszystkich krajach europejskich odznacza się obecnie bardzo krytycznym stosunkiem do wszelkich autorytetów) tradycyjne upodobanie starych Szwajcarów, odwiecznych zwolenników decentralizacji, do rozwiązywania wszelkich zagadnień życia zbiorowego w sposób odmienny niż gdzie indziej: „Nie byłiby Szwajcarami,

gdyby dzielili nadwyżkę zwyczajnie i w sposób jednolity”. Tak więc największa w Szwajcarii spółdzielnia — Allgemelner Consumverein beider Basel (obejmująca miasto i kanton Bazylei) zwraca członkom do 8 proc. w kilku ratach, gdy spółdzielnia genewska wydaje wszystkim kupującym członkom i nieczłonkom boni 5 proc., a prócz tego członkowie otrzymują po zamknięciu bilansu 2 — 3 proc. w formie zwrotów od zakupów; wypłaty gotówką odbywają się tylko w jednym punkcie, gdy tymczasem w towarze — by zachęcić do odbioru w tej postaci — odebrać można zwroty: rabat w każdym sklepie. W wielu spółdzielniach wypłaca się specjalne premie od zakupu towarów produkcji spółdzielczej.

Szwajcarska produkcja spółdzielcza — w porównaniu z rozbudowaną produk-

(Dokończenie na str. 8)

odgłosy str. 7





# aspazja

ILUSTR. JBIŚ-GRATKOWSKI

— 64 —



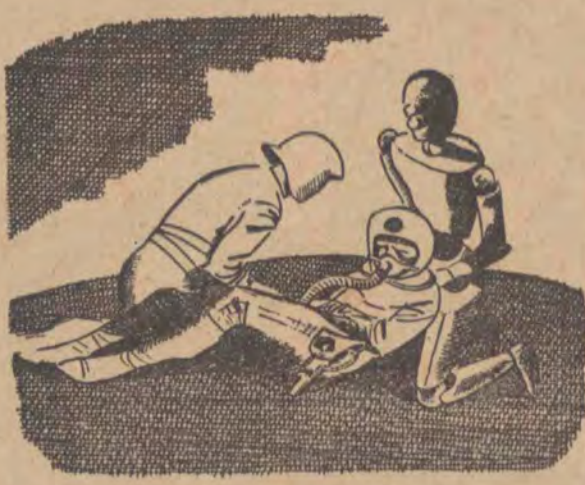
Znów błąkałem się po piętach pełen nieufności. Może to wszystko prawda, co ona mówiła? Cóż jednak miała znaczyć depesza Vituulena i ten obraz admirała, tak nieszczyśliwego i poranionego... i te złote kopie moich smutnych przyjaciół?

Co dzień pod skały Krzyża i Gwiazdy posyłam „Age”. Zsynchronizowałem jej działanie z działaniami „Glorii” i osłony. W godzinach od 23 do 24 wiszę więc na balansjerach. Aspazja naturalnie o tym wszystkim wie doskonale. Jeśli nie zniszczy „Agi”, to tylko dlatego, że ma w tym jakieś swoje wyrachowanie. Jeśli nie chce, aby ktokolwiek opuścił jej państwo, to nikt go nie opuści. Nie mam więc dużo nadziei. W „Adze” są skafandry i tlen, ale coż z tego? Nie ma osłony elektronowej.

Wiem automatyczny przyrząd łączności dał mi z „Agi” znak. Ktoś się zbliża. To jest człowiek. W jednej chwili runąłem w dół. Spotkałem się z „Aga” tuż nad powierzchnią Marsa. Automat wyłączył osłonę dosłownie na jedną sekundę. Zaledwie „Aga” zdążyła spaść do lądowni.

W tej samej chwili zaczęły w „Glorię” walić znane, straszliwe, niebieskie, elektryczne eksplozje. Może odległość była nieduża, w każdym razie takiego sztormu jeszcze nie było. Trzęsła się ziemia i niebo. Pounure, niebieskie światło ogarnęło cały nieboskłon.

— 65 —



„Gloria”, targana piekielną siłą na wszystkie strony wprost fikała koziołki w tej przestrzeni. Gnałem do góry siłą wszystkich motorów. Na wysokości 500 kilometrów zwołnilem.

Aspazja pomyliła się dosłownie o ułamek sekundy. Chciała porazić „Glorię”, gdy zastana będzie zniesiona. Dlatego wcześniej nie ruszyła „Agi”. Dlatego może pozwoliła na ucieczkę temu człowiekowi. Była przekonana, że zniszczy go u samego wejścia. Nie przewidziała, że tak szybko, wprost ryzykancko spadnie na dół.

Siedziałem przed pulpitem na podłodze. Krew lała mi się z nosa i uszu. Głowa pękała. Ten spadek na dół i lot do góry był zbyt silnym wstrząsem dla organizmu.

\* \* \*

W „Adze” leżał człowiek w skafandrze i w hełmie na głowie. Drżącymi rękami odpiłem mu hełm. To był Freyd. Olo Freyd. Nieprzytomny i bład jak trup. Chciałem go wziąć na ręce i przynieść do windy. Nie dałem rady. Dopomógł mi automat.

Po chwili znajdował się w mojej kabine, na moim leżaku. Rozebrałem go i obłożyłem termoforami. Wlałem mu do ust trzeźwiący płyn. Zrobiłem zastrzyk

— 66 —



wzmocniający. Po pewnym czasie otworzył oczy, powrócił do przytomności.

— Aspazja ugodziła mnie błyskawicą ze swego berła — szepnął.

— W tych berłach jest jakaś wielka siła. Ale to nie jej wina — uśmiechnął się blade. — To stało się przypadkowo. Ona tego pewnie nie chciała.

— Nie broń jej — krzyknąłem. — To potwór.

— Lechu — szepnął dalej — ty nic nie rozumiesz. Ona jest cudowna...

— Cudowna — powtórzyłem — bo cię jednak wypuściła.

— Nie... — zaprzeczył — to nie ona. Ocalała mnie profesor Latona, oraz pewna stara pszczoła, no i ta „Aga”, która mnie przed piorunami Aspazji zdążyła ukryć w „Glorii”.

— Co się z tobą działo, biedaku? — zapytałem, spoglądając na jego wychudłą, zmienioną twarz. — Co się dzieje z naszymi przyjaciółmi?

Nie odpowiedział, tylko o czymś myślał. Marszczył czoło i coś starał się sobie przypomnieć. Od czasu do czasu wypijał łyk wina.

d.c. nastąpi

## UWAGA, człowiek w trybach!

(Dokończenie ze str. 1)

W codziennej praktyce rzecz wygląda niepokojąco. Liczby, które uzyskałem w CRZZ są, niestety, zastraszające. Mimo wyższych nakładów finansowych ilość wypadków przy pracy nie maleje lecz rośnie. Tak na przykład „podskoczyły” one ze 177.701 w 1955 r. do 198.402 w 1957 r. Postępuje zatem niszczenie sił wytwórczych, wzrost ilości kalek i inwalidów, często — wdów i sierot.

Niektórzy usiłują dopatrywać się tutaj winy samych robotników, zwłaszcza nowicjuszy, którzy nie potrafią jeszcze obchodzić się z maszyną, względnie „lekceważą sobie niebezpieczeństwo”.

Nie przeczę. Są i takie zjawiska, lecz to nie one są typowe, powszechne. Świadczy o tym ciekawa analiza przeprowadzona przez Związek Włóknarzy. Oto wzrost zatrudnienia wynosił w 1956 r. 2 proc., natomiast ilość nieszczęśliwych wypadków w pracy wzrosła o 18,5 procent. W ubiegłym roku zatrudniono w przemyśle lekkim 6,5 proc. więcej robotników, a wypadki wzrosły o 28 proc. Nie trzeba chyba dodawać, że oprócz zdrowia ludzkiego, stracono setki i tysiące robocizny, a więc gotowych towarów potrzebnych na rynek, a ponadto — ludziom tym państwo wypłacało zasiłek chorobowy lub wypłacało renty inwalidzkie. A zatem — straty potrójne.

Każdy z czytelników może w tym miejscu zadać słuszne pytanie: dlaczego tak się dzieje? Trudno znaleźć odpowiedź. Przyczyn jest wiele. Spróbujmy jednak sięgnąć do kilku. Podstawowych.

Zgadnijcie, gdzie najintensywniej szukano rezerwy zatrudnienia przy realizacji głośnej uchwały 42? Przede wszystkim w komórkach BHP! Z impetem, energicznie likwidowano, komasowano, parcelowano, słowem — brzęściągano się w realizacji różnorodnych koncep-

cji, pozostawiając, do ongiś samodzielnych ogniw — jedynie szczątki.

Sądźcie, że ów taniec spustoszenia odbywał się tylko na tzw. „odolnym szczeblu” — jedynie w przedsiębiorstwach? Nie podobno! Szalały również centralne zarządy a nawet ministerstwa. Doszło do tego, że CRZZ zmuszona była złożyć w Urzędzie Rady Ministrów stanowcze veto.

Gdzie tkwią źródła owej nadgorliwości na opak?

Wydaje się, że zadecydowały tu w pierwszym rzędzie przyczyny obiektywne, tudzież niedoskonałe jeszcze w tej dziedzinie ustawodawstwo pracy.

Byłem na plenum Zarządu Głównego Zw. Włóknarzy. W dyskusji wystąpił m. in. przedstawiciel Zakładów Guzikarsko - Galanteryjnych w Łodzi. Przemówienie jego nasunęło mi wiele refleksji. Opowiadał on, że w okresie lat wojennych w przedsiębiorstwie tym „wyprodukowano” 200 inwalidów pracy. Jak do tego doszło? Robotnicy pracują przy otwartych wykrojnikach i o „zgubienie” palca lub dłoni — nie trudno. I rzecz charakterystyczna: po każdym wypadku kierownictwo „mobilizuje” świadków, stwierdzających „oczywista” winę robotnika!

A więc, gdy robotnik pragnie uzyskać odszkodowanie od zakładu — musi odwołać się do sądu i udowodnić winę przedsiębiorstwa. Proces taki toczy się długo, bo zakład ma do dyspozycji i radcę prawnego, i świadków, i komisję fachowców, a pracownik często gesty nie wie nawet, dokąd się zwrócić, ani nie potrafi znaleźć umotywowanych swoich — choć słusznych — pretensji.

W tym tkwił chyba słaby punkt naszego ustawodawstwa pracy. Dlaczego robotnik w przemyśle prywatnym jest w tej sprawie bardziej uprzywilejowany od robotnika w przemyśle państwo-

wym? Tam, właściciel płaci poszkodowanemu z samego tytułu ryzyka pracy. A jeśli chce uniknąć kosztów — musi w sądzie udowodnić, że wypadek nie nastąpił z winy przedsiębiorstwa. Tu — dzieje się odwrotnie.

Dlaczego? Czy fakt uspołecznienia środków produkcji zlikwidował automatycznie ryzyko pracy? Ależ skąd!

Oto na przykład Fabryka Maszyn Liniarskich w Kamiennej Górze dostarcza włókniarzom „Warty” w Częstochowie przewijarkę bez osłon zabezpieczających. Oto słynna „Befama” wysyła Zakładom Wełnianym im. Zmózka w Bielsku szarparkę bez bocznych osłon napędowych. Z reguły stosują to również Zielonogórskie Zakłady Zgrzeblarskie. Można przytoczyć setki podobnych przykładów. A stan wielu starych budynków w przemyśle włókienniczym Łodzi i województwa? A występujący wciąż brak odpowiedniej klimatyzacji i wentylacji w salach produkcyjnych? Jedne z wielu pomiarów powietrza, dokonane przez stacje sanitarno - epidemiologiczne we Włocławskich Zakładach Roszarniczych w Choceniu wykazały 40-krotne przekroczenie zanieczyszczenia od norm uznanych za dopuszczalne.

Czy występuje więc w państwowych przedsiębiorstwach ryzyko pracy? Niewątpliwie. Czy zadaniem zakładowej służby BHP jest walka ze zjawiskami niedbalstwa w dziedzinie ochrony pracy? Bezspornie.

Mówi o tym uchwała Rządu nr 592, stwierdzająca, że służba ta powinna stać się prawą ręką dyrektora. Tymczasem, przy pierwszej nadarzącej się okazji, przy likwidacji przerostów zatrudnienia — pierwszymi kozłami ofiarnymi stali się akurat pracownicy BHP!

Dlaczego? Ano dlatego, że w wielu zakładach stawali się oni niewygodni. Są tacy kierownicy przedsiębiorstw, którzy widzą jedynie plan, metry tkanin. A tu przychodzi „behapowiec” i zarządza wyłącznie agregatów z produkcji. Po co więc trzymać ludzi, którzy — według pojęć niektórych — przeszkadzają w pracy?



I tu chciałbym wskazać inne zjawisko. Na odbywającym w kwietniu br. Kongresie Związków Zawodowych w Warszawie wystąpiła przedstawicielka amerykańskiego ruchu robotniczego. Opowiadała ona, jak to w jednej z hut żelaznych w USA fabrykant zatrudnia cały sztab specjalistów BHP, płacąc im rocznie około 5 mln. dolarów.

Czy sądźcie, że on to czyni z pobudek humanitarnych, z gorącej miłości do robotników? Nonsens. Oto w razie wypadku przy pracy fabrykant musi wydatkować grube pieniądze zarówno z tytułu ryzyka pracy, jak również z tytułu odszkodowania za ból i ewentualne inwalidztwo. Oplaca mu się zatrudniać służbę BHP, by uniknąć dotkliwszych kosztów i strat.

A jak jest u nas? Gdzieś w szkatule państwowej sumują się astronomiczne kwoty, wypłacane z tytułu kalectwa i inwalidztwa pracy. U nas płaci państwo, a nie przedsiębiorstwo.

Gdyby jednak było odwrotnie, gdyby na przykład owe Zakłady Guzikarsko - Galanteryjne i tym podobne przedsiębiorstwa miały swoim inwalidom płacić dożywotnie odszkodowanie — wówczas dyrektor dobrałby sobie najlepszych inżynierów do spraw BHP. Wówczas — służba ta stałaby się rzeczywistą prawą ręką kierownictwa zakładu. Ceniono by ją, jak ów właściciel amerykańskiej hut, który woli wydawać pieniądze zdrowym i pracującym ludziom,

niż płacić wieczne pensje bezproduktywnym kalekom. Wówczas — każdy wydatkowany grosz odbiłby się na finansach przedsiębiorstwa i sprawą BHP żyłoby nie tylko dyrekcje, lecz i samorzady robotnicze, które wszak mają wygospodarować fundusz zakładowy. Zamiast parcelacji i likwidacji, mielibyśmy odwrotne zjawisko — wzmocnienie aparatu BHP, a przynajmniej usunięcie dyletantów i przyjmowanie na ich miejsce wybitnych fachowców.

Oto problem wart rozważenia. Przedsiębiorstwa uzyskują coraz większą samodzielność w zakresie produkcji, zbytu i finansów. Dlaczego więc obciążać Skarb Państwa za niezawinione grzechy, za niedbalstwo i niedopatrzanie zakładów?

Wprowadzmy w tej dziedzinie rozsądny gospodarski rachunek! Nie zadajmy od kierowników i dyrektorów abstrakcyjnego humanizmu, ani pustosłownych deklaracji. Bez bodźca materialnych zainteresowań nasze wniosły i piękne hasło troski o człowieka pracy — stanie się li tylko pobożnym życzeniem i jałowym sloganem. Sloganem — dekoracją.

JAN ADAMOWSKI

odgłosy str. 9



JERZY OPLUSTIL

# I FASADY SĄ KONIECZNE, ALE...

Cztery i pół miliona złotych otrzymał w bież. roku konserwator zabytków województwa łódzkiego i rok rocznie wydaje się po kilka milionów na odbudowę i konserwację obiektów zabytkowych.

Zainteresował nas jeden z największych zespołów remontowanych — Rynek Piotrkowa Trybunalskiego<sup>1)</sup>. Oto znaleźliśmy się na Rynku — pośrodku niewielkiego placu, na którym zalegają materiały budowlane, cegła, elementy ścian, drzewo itd. Prace trwają około dwóch lat i jak twierdzą mieszkańcy przebiegają dość opieszale. Na frontonach kilku domów stoją rusztowania — jeden z budynków wygląda jakby

był wybudowany od podstaw. I choć dominuje tutaj prozorka — dostrzegamy jednak nastroj, jaki stwarzają zabytkowe frontony kamienne i fasady położonych tuż przy Rynku kościołów.

Rzecz charakterystyczna, że pomimo pewnego oddalenia dominują nad Rynkiem piotrkowskim potężne bryły kościołów. Na Rynku brak już ratusza (zburzonego w XIX wieku, a mimo to utrzymany w ów specyficzny klimat miasta narastających czasów i architektury. Od gotyku, poprzez renesans, barok, skończywszy na empirii i klasycyzmie warszawskim — wszystkie style i epoki historyczne wywarły tu swoje piętno. Kogo interesuje przeszłość — niech

przeczyta kilka dodatkowych uwag!

Udajemy się wraz z kamerą naszego fotoreportera na krótki spacer po rynku. Kamera ujawnia ograniczony zakres prowadzonych prac. Klisze rejestrują znaną skądinąd „fasadowość” remontu. Kiedy ten sam aparat dotrze do wnętrza budynków mieszkalnych, zarejestruje tam zwykły obraz odrapanych tynków, cuchnących zlewów, kiepsko brukowanego podwórza itp.

Mieszkania kamieniczek okalających Rynek są pozbawione prostych urządzeń i wyposażenia. Nie chcemy przemawiać tonem wiecznym malkontentów — i fasady są konieczne, ale...

Ale — przydałoby się wraz z dekoracją zewnętrzną większa troska o zaspokojenie podstawowych potrzeb ludzi. — Mieszkańcy uroczego i kolorowego Rynku piotrkowskiego czekają na modernizację ich mieszkań! Rynek Piotrkowski nie gorszy przecież od Rynku starej Warszawy!

Choć zabytki to sprawa załatwiająca myśzką i na pozor tkwiąca poza nurtem współczesności — mają przecież i „zabytkowicze” swoje problemy, które ich dręczą i spać im nie dają. Wiadomo, że przy odbudowie tzw. zespołów zabytkowych, to znaczy całych ulic i placów, zdarza się często większa lub mniejsza wyrwa. Taką wyrwę znajdujemy zarówno w remontowanym zespole w Łowiczu (Plac Kościuszki) jak i w Piotrkowie. Na Ryn-



1 Wzrost na jedną ze ścian Rynku Piotrkowskiego, w głębi kościół. W Rynku, gdzie stał kiedyś ratusz, zagospodarowało się przedsiębiorstwo, remontujące piotrkowskie kamienice.

2 Tak przedstawia się odwrotna strona medalu. Kiedy weźmiemy się „za zaplecze fasad kolorowych domów?”

3 Drewniany ówór z w. XVIII w Rzekach Wielkich, pow. radomszczański. Znalazł tu pomieszczenie ośrodek kolonijny LZBM nr 3.

4 Kościółek drewniany w Łaszewie, pow. Wieluń, pochodzący z XVI w. Zakończono tu roboty z funduszy konserwatora wojewódzkiego.

5 Niedawny huragan nie oszczędził dachu w remontowanej wieży zamkowej w Rawie Maz.



sowano dotąd w Polsce nadsłownictwo stylowe — jakis stop stylów i architektury.

Obecnie jednak zwycięża przekonanie, że istotna rola wychowawcza zabytków opiera się na ich autentyczności, tj. tzw. prawdziwej historycznej. Wszystkie epoki powinny wnosić własne, sobie właściwe formy i wartości. Tak więc nowoczesny obiekt wstawiony w rządy zabytkowy domów na Rynku piotrkowskim nie będzie wywoływał wrażenia dysharmonii. Przeciwnie i tak na tym Rynku w Łowiczu czy Piotrkowie powstawały i trwają do dziś budynki, wzniesione w różnych epokach — to właśnie jest przedmiotem naszego podziwu. Weale nie kłóci się w tych zespołach fasada barokowa z klasycystyczną. Gdy jednak zastosujemy dotąd używany powszechnie sztuczny „zabytek”, to przypominać to nam będzie pomysły amerykańskich milione-

row, wznoszących w Nowym Jorku gotyckie i maurytańskie pałace.

Nie na tym kończą się troski „zabytkowiczów”. Do tych trosk należy przede wszystkim znaczenie użytkownika, tj. gospodarza dla remontowanego obiektu. Praktyka wykazała, że wtedy tylko można przewidzieć efekt wkładu finansowego, o ile zabytkowy obiekt uży-

skana kulturalnego użytkownika. Tak więc dzięki zabiegom władz wojewódzkich w pięknym renesansowym pałacu w Podębicach znajduje pomieszczenie internat szkolny. — W Rzekach Wielkich, w powiecie radomszczańskim, w niedawno wyremontowanym dworze z XVIII w. powstał ośrodek kolonijny Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego Łódź III. — Działoszyński renesansowy pałac będzie zaś siedzibą ośrodka PTT-K.

<sup>1)</sup> Inwestycja ta finansowana jest poza pulą konserwatora.

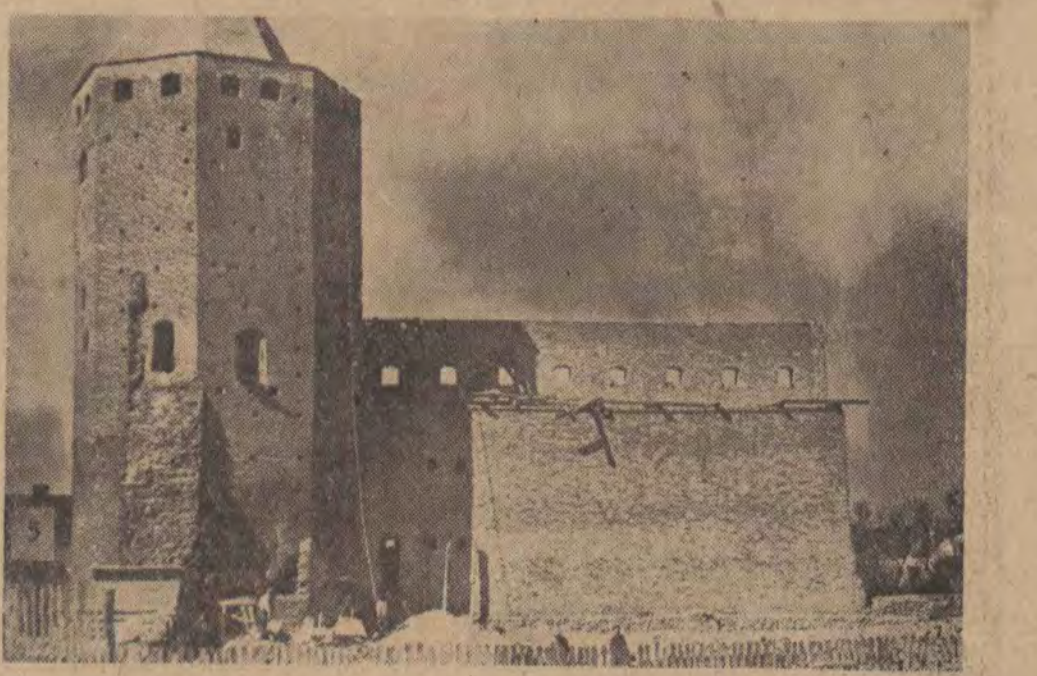
Pierwsza wzmianka o Piotrkowie pochodzi z roku 1217. W roku 1494 Władysław Jagiełło wydaje akt lokacji miasta na prawie magdeburskim. Od początku swego istnienia Piotrków żyje i rozwija się jako ośrodek handlowy, położony na skrzyżowaniu dróg z Mazowsza do Krakowa i z Poznania na Ruś. Swojemu centralnemu położeniu w Koronie zawdzięcza miasto późniejszy swój awans do roli:

- 1) siedziby zjazdów prowincjonalnych (od 1438 do 1492)
- 2) następnie siedziby trzydziestu ośmiu sejmów ogólnokrajowych (1493—1587).
- 3) wreszcie po dziesięcioletniej przerwie — Piotrków stał się — aż do upadku państwa polskiego — siedzibą sądów koronnych.

Ludność miasta w obrębie murów waha się w granicach 2000 dusz aż do połowy XIX w. i dochodzi do 50.000 w naszych czasach. Czytając kroniki miasta widzimy Piotrków gwarnych i tłumnych zjazdów szlacheckich z wzrastającą okresowo ilością mieszkańców. Dla zaspokojenia potrzeb tych przybyszów miasto rozwija specjalne działy produkcji.

Zapoznawamy się z chwilami nieszczęść i upadków. — Licznych pożarów — najazdu szwedzkiego. Te kataklizmy rujnowały zabudowania mieszkalne, niszczyły zamek i świątynię. Piotrków posiadający w

Rzeczypospolitej szlacheckiej gospodarczo i politycznie ustabilizowaną pozycję odbudowuje się jednak po każdej katastrofie dość szybko. W ciągu tych licznych okresów odbudowy głąb ślady pierwotnej gotyckiej architektury. Pozostaje jednak zawsze nienaruszony układ przestrzenny charakterystyczny dla średniowiecza. Na słatce ulic, w miejsce spalonych drewnianych budynków w wiekach XVII, XVIII i XIX powstają budynki murowane dochowane do naszych czasów. Po ostatnim pożarze, jaki miał miejsce w drugiej połowie XVIII wieku, wypalone kamienice otrzymują swój ostateczny makijaż w stylu empirii i warszawskiego klasycyzmu.



Najostrzejsze ołówki świata

# MOSE

Tym, którym się może przejadły trudniejsze, absurdalne żarty Amerykanów, prezentujemy dziś humor lżej strawny, przystępniejszy. Nie znaczy to naturalnie, że dowcipy francuskiego rysownika Mose, są niższej klasy.

W swej ojczyźnie Mose zaliczany jest do „wielkiej piątki” humorystów, obok Bosca, Chavala, Dubout i Peyneta. Wysoko go cenią również Brytyjczycy, którzy otwarli przed nim lamy szeregu swych pism, nawet tak ekskluzywnych, jak „Punch” i „Lilliput”.

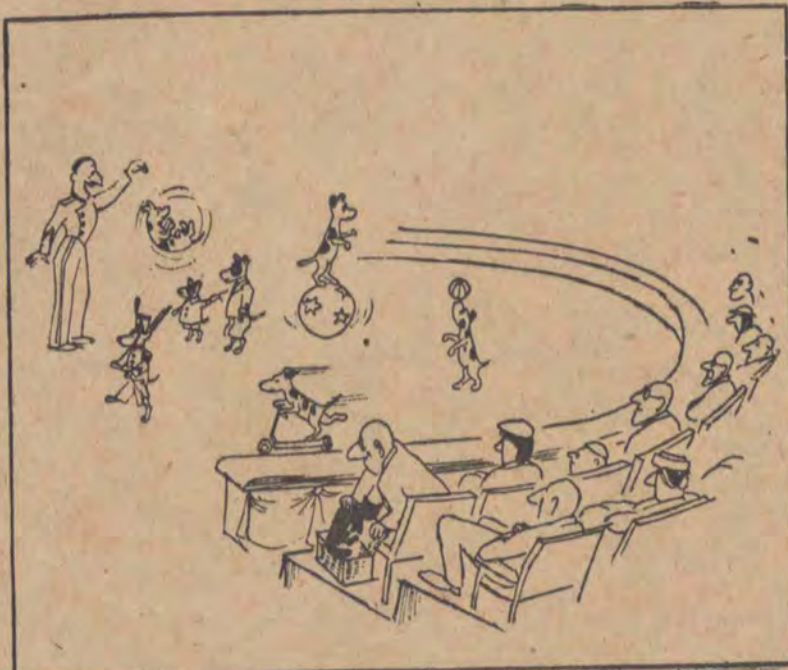
Ma ta gościnność Anglików swoje przyczyny. Pisalem kiedyś szerzej w tej rubryce o ulubionym przez nich gatunku żartów, gdzie występują uczone psy i konie, łagodne lwy... i krwiożercze myszki. A tak się właśnie składa, że Mose bardzo chętnie i często rysuje dowcipy o zwierzętach.

Swoją drogą, żarty Francuza mają nieco inny charakter niż angielskie anegdoty. Tam pointy budowane są na niemożliwości: zwierzęta myślą — i zachowują się jak ludzie, posiadają ludzkie upodobania i umiejętności (słynny koń, który potrafił grać na fortepianie). Mose nie wkracza w rejony absurdu, zwierzęta w jego dowcipach pozostają zwierzętami. Może tylko są sprytniejsze ponad przeciętność.

Bohaterami są przeważnie zwierzęta egzotyczne — Mose często sięga do tematów egzotycznych, z terenu Afryki i Indii, także wtedy, gdy opowiada o ludziach.

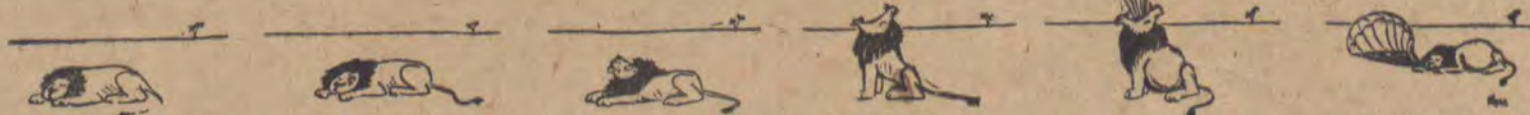
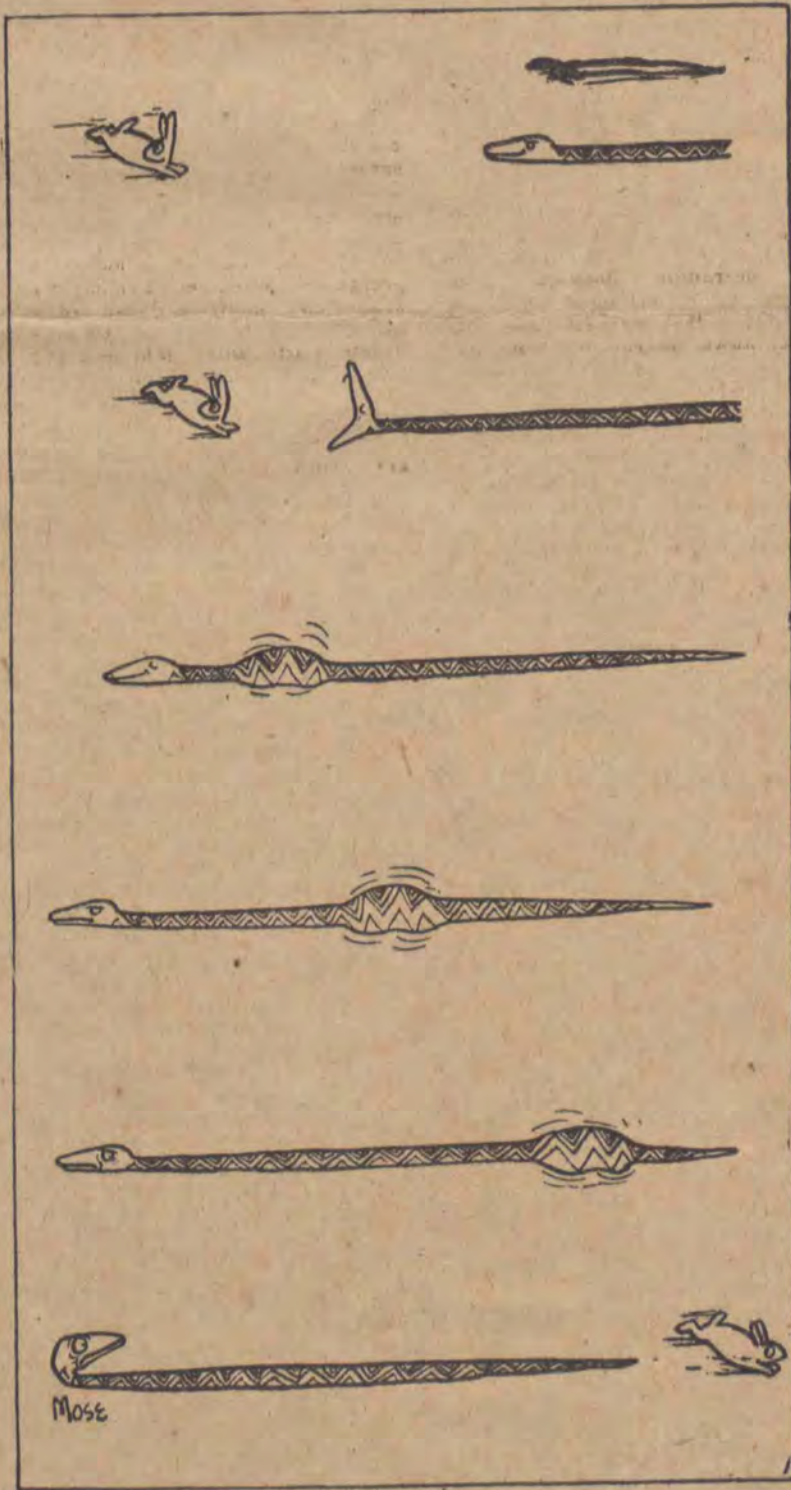
Francuski rysownik reprezentuje humor pogodny, pozbawiony ironii i zgryźliwości. Dzięki zwierzętom stają się pod jego ołówkiem — sympatyczne, a nawet krwawe sytuacje (exemplum — historyjka o lwie) — budzą wesołość.

J. W.



albo

## ZWIERZĘCE NIEDOLE



WYBIERAMY  
MISS LUNAPARK 58



Grzeczne psy—mile widziane

# LUNAPARK

Nr 3. 24. VIII. 58 Rok I

### „LUNAPARK” SWOIM CZYTELNIKOM

W związku z zainteresowaniem, przejawianym przez naszych Czytelników — publikujemy poniżej słowa do piosenki z filmu „Most na rzecę Kwai”. Oto one:

Hallo, słońeczko błyska już,  
hallo, wróć spoza gór i mórz,  
Johnny, ojczyste strony,  
miasteczko twoje w kotlinie  
wśród wzgórz.



Hallo, słońeczko daje znak,  
hallo, wesoło gwizdże szpak,  
Johnny, przyjdź wyteśkniony,  
dziewczyna wierna już czeka  
od lat.

Hallo, słońeczko świeci znów,  
hallo, wróciłeś z wojny zdrów,  
Johnny, w ojczyste strony,  
do twych zielonych parowów  
i wzgórz.

Hallo, słońeczko świeć, świeć,  
hallo, piosenka nieś się, nieś!  
Johnny, zwycięski Johnny,  
niech serce gwizdże szczęśliwą  
tę pieśń!

słowa: LEON PASTERNAK.

DROGI „LUNAPARKU” \*)

Zgodnie z Twoim życzeniem, przesyłam swoją ostatnią fotografię amatorską. Przyznam się, że jeszcze nigdy nie brałam udziału w wyborze jakiegokolwiek „Miss”, tym razem za namową koleżanek zdecydowałam się wysłać swoje zdjęcie, chociaż jestem pewna, że nic tym nie wskóram.

Jest mi to zresztą najbardziej obojętne, a ujrzenie swojego zdjęcia w nowym tygodniku chyba należy do przyjemności?

Zalążam pozdrowienia  
„RUMIANEK”  
(patrz fotografia)

\*) Oto jeden z pierwszych listów, które otrzymał „Lunapark” wraz z fotografią — w związku z konkursem na „Miss Lunapark 58”. Dziękujemy wszystkim Czytelnikom, którzy nam nadesłali zdjęcia i przypominamy, że będziemy je publikować wg zasad, które ogłosiliśmy w 1 numerze „Lunaparku” w dniu 10. VIII. br.

Czekamy na dalsze zgłoszenia kandydatek na „Miss”. Niech Was nie peszy, jeśli zdjęcia są amatorskie. W „Lunaparku” każdy wychodzi jak na to zasłużył.

Z cyklu:

### EROTYZM W PROZIE

Dziewczyna wyla się jak na torturach, ale szare oczy Waldemara patrzyły na nią przejmująco, usta piekły żarem, budząc dreszcz namiętny, głos jego, nabrzmiały miłością, chrapliwe rzucał słowa:  
— Szaleję za tobą!... Słyszysz?...  
Musisz być moją i będziesz. Kochasz mnie, ja wiem.

Och, wiedział! Wiedział wszystko i nie puścił jej; straszny jest: orzeł! lew! gromy miał w oczach, sztylety w ustach, gdy mówił ostatnie słowa:  
— Musisz, musisz, bo ja tak chcę!

To potęga, cyklon rwący, wszechmocny.  
— Jego być, do niego należeć!  
Boże, zabij mnie za te pragnienia!  
— skarżyła się Stefcia. Chwilami słabła. Wówczas ciche pasemka nadziei usuwały się w jej dramat słodko szmerząc. Uczuwa na ustach pocatunek. Palące dotknięcie jego poządlitych warg niby słodka trucizna odurza ją...  
Czy to już śmierć?

(Helena Mniszek, „Trędowata”)

### Nowoczesna broń w rękach bandytów

„Dziennik Łódzki” pomieścił w dniu 8 sierpnia br. przysłany przez PAP, krótki, ale atrakcyjny reportaż z Bydgoszczy. „Milicjant i żołnierz ujęli bandytów, ostrzeliwujących się z pistoletu maszynowego” — oto tytuł rzeczy.

Czytamy między innymi: „Zatrzymanym odebrano pistolet maszynowy, z którego wystrzelili oni w czasie ucieczki 57 naboł, petardę i 2 ciężkie palki”.



Skandal! Nasze wojsko i dzielna milicja nie posiadają jeszcze tak nowoczesnej broni, a byle bandyta już ją ma. Wstyd!

odgłosy str. 11

